



Halina Rogozińska

część I z II

Sygnatura notacji: **N0505**

Data urodzenia: **30.10.1926 r.**

Data nagrania: **10.08.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 41 min, część II: 22 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Halina Rogozińska: Nazywam się Halina Rogozińska, z domu jestem Rutkowska, mówię o tym, bo moja historia się toczy i w czasie Powstania byłam też Rutkowska, bo miałam te 17 lat. Urodziłam się w Warszawie, w październiku, 30 października 1926 roku, ale wszystkie święta, wakacje spędzałam u dziadków, u rodziców mojego ojca. To jest w Turowie, między Płockiem a Płońskiem pośrodku. Ojciec mój był architektem, kończył szkołę taką tą techniczną w Niemczech, ale to było dawno temu, jeszcze w czasie rozbiorów Polski. Myślę, że to tak jakoś kolejno idzie, bo mój ojciec był ochotnikiem w 1920 roku, mój starszy, sporo starszy ode mnie brat, był ochotnikiem w 1939 roku i ja byłam ochotnikiem w 1944 roku, prawda? Jakkolwiek byłam przydzielona, bo byłam w tym tajnym harcerstwie przy Narodowych Siłach Zbrojnych, w tajnym harcerstwie, ale potem zostałam po przeszkoleniu i wojskowym, i sanitarnym, zostałam przekazana do AK i już dwa tygodnie przed Powstaniem, jak ja to nazywam w cudzysłowie, byłam skoszarowana u pani Zofii Namitkiewicz przy Placu Narutowicza i u jej matki. Bo już dwa tygodnie przed Powstaniem pod okiem Niemców robiłyśmy zakupy różne: opatrunków, lekarstw, różnych bandaży i tak dalej. A ponieważ wszystko to się działo pod okiem Niemców, to żeśmy miały zawsze zakupy jarzyn, a pod spodem były te zakupy na, już na czas Powstania. Byłam przydzielona właśnie do tego IV Obwodu Ochota i już 1 sierpnia od rana roznosiłam rozkazy, ale tylko w głowie. Nic nie wolno było zapisywać. Roznosiły rozkazy, kto gdzie się ma stawić. Oczywiście nie pamiętam na ogół tych osób, do kogo chodziłam, bo nie wolno było nic zapisywać. Jedynie pamiętam, jak blisko Placu Narutowicza w jednym z takich budynków przyjmował dentysta, polski dentysta. Otwieram drzwi, a tam nie wiem, 10–12 młodych chłopaków: „Nareszcie przysłaś!” – z wraskiem do mnie, że nareszcie ten rozkaz przyniosłam do nich. No to jedynie to pamiętam, bo to właśnie pamiętam, że takich dużo było. Później ja miałam przydział, po roznoszeniu 1 [sierpnia] od rana tych rozkazów, miałam przydział do lekarza jako łączniczka, do lekarza odpowiedzialnego za

służby medyczne. Nazywał się, nie pamiętam imienia, ale nazywał się [Jan] Goldman Zaborowski. On był bardzo serdeczny i dla mnie, i taka druga była łączniczka. We dwie byłyśmy, mimo że w tym budynku był lokal przeznaczony na szpital, ale myśmy mieszkały u niego, i np. jak już „własowcy” opanowali, bo głównie tam „własowcy” byli niestety, jak opanowali ten budynek, to on, żeby nas ci „własowcy” nie zgwałcili, zaprowadził nas do swojej piwnicy, przysyłał nas węglem i tylko dał rurki, przez które żeśmy oddychały. I tak żeśmy przeleżały pewnie z pół doby na pewno, a może i trochę więcej. No więc jednym słowem zawsze jakieś były historie. Tam chodziłam właśnie jako łączniczka między, między punktami oporu, bo niestety ostrzał był z kościoła na Placu Narutowicza i on był rzeczywiście dość dotkliwy. Dużo ludzi tam pozabijali, ale trzeba mieć na to 17 lat i moją ogromną wiarę, że mnie nie trafią. No i jak widać nie trafili, prawda? Ale to trzeba było te 17 lat mieć. i chodziłam między punktami oporu, zanosilałam czasami rozkazy, czasami amunicję, czasami broń. No jednym słowem, że zawsze żeśmy gdzieś..., gdzieś, zawsze chodziłam. I zawsze miałam głęboką wiarę, że mnie nie trafią. Ochotę zajęli i rzeczywiście, tak samo jak Wolę, tak Ochotę chcieli zamienić w pustynię i pozabijając wszystkich ludzi. Tam była rzeź. I Woli, i Ochoty. Byłam na tym sławnym „Zieleniaku”, gdzie Niemcy, a głównie „własowcy”, wyciągali dziewczęta, gwałcili i na ogół na koniec zabijali. Myśmy jeszcze z takimi dwoma, z którymi mocno byłam aprzyjażniona, zdwie siostry Gettel, razem żeśmy leżały. Chłopcy z naszych oddziałów zrobili na tym „Zieleniaku” taki wał z plecaków, różnych bagaży, a myśmy leżały plackiem za tym. Niezbyt wygodnie, ale dosyć bezpiecznie, bezpośrednio na kamieniach, na takiej powierzchni, i dzięki temu żeśmy pewnie ocalały. Później umówiłyśmy się z tymi właśnie siostrami Gettel, że razem będziemy uciekać. Wieźli nas kolejką dojazdową do Pruszkowa i tam był ten taki duży obóz, gdzie dzielili ludzi na wyjazd do Rzeszy, na wyjazd do obozu i tak dalej. A myśmy trzy, przepraszam ale głupie i młode, między tym uciekałyśmy. I mówię, że wśród Niemców też byli różni ludzie, bo miał przed sobą plecy trzech głupich dziewczyn, gdzie ja miałam te 17 lat, starsza z sióstr miała 18, ale ta młodsza miała niecałe 16, Basia. I Niemiec za nami, ten z ochrony, obstawy strzelał i żadnej nie trafił. Myślę, że to był po prostu dobry człowiek, który nie chciał trafić, ale musiał strzelać, bo by jego rozstrzelali za, za ratowanie powstańców. No i myśmy..., w pewnym momencie jakaś pani tam właśnie otworzyła drzwi do ogródka: „Wchodźcie, wchodźcie, bo ja mam ogródek przechodni, to wy już wyjdziecie na zupełnie inną ulicę, jak przejście”. No i rzeczywiście ocalałyśmy, a ponieważ mój brat starszy miał dość duże, pracował tam jakiś czas, miał dość duże w tamtych AK-owskich... Więc powiedział, że jesteśmy przeszkolone i trafiłyśmy do tego szpitala polowego w Łuszczewie pod Kampinosem i tam byłyśmy ładnych parę miesięcy w tym szpitalu polowym, we trzy dalej. Wiem, że one już nie żyją, to ja tak żyję, że samą mnie dziwi, że żyję i żyję, no ale tak widocznie miało być. Myślę, że też pozwoliło mi przeżyć i NKWD, które w 1944 pod koniec, w 1945 roku naprawdę bardzo gonili powstańców i AK-owców. No ale to przeżyłam dzięki, jak to mówiła moja mama, że mój ojciec był uczciwy do głupoty i już w 1944 roku po wejściu tam Niemców, to uratował taką rodzinę żydowską dając im, dając im ogromną zaliczkę, którą dostawał od od hurtowników zbóż i płodów rolnych. I ojciec jako jedyny z ziemian oddał temu właścicielowi, Żydowi, oddał zaliczkę. Ja się po wojnie dopytałam: „Tato, jaka to była ta zaliczka, że on tak był wdzięczny i że się podobno wykupił dzięki temu?”. A ojciec mi powiada: „No wiesz, taka zaliczka za zboże, którego nie mogłem już odstawić, bo Niemcy zarekwirowali dla wojska. No ale to było, ta zaliczka to była warta taka, że można byłoby kupić 3 do 5 „Mercedesów”. Czyli to była duża suma, prawda? No i ten Żyd kazał swojemu synowi, który potem był w Urzędzie Bezpieczeństwa, i jak ja byłam po rewizji zabrana na przesłuchanie i na konfrontację z innym takim Ak-owcem, nie powstańcem, tylko AK-owcem, to... To on podszedł do mojego ojca i powiedział: „Obywatelu Rutkowski...”, bo to się tak mówiło, nie „panie”, tylko „obywatelu Rutkowski”. „Ty mnie nie znasz, ale ja znam z opo-

wiadań mojego ojca. I ojciec mówił, żebym się kiedyś Rutkowskiemu odwdzieczył za to, że dzięki niemu przeżyliśmy”. No i rzeczywiście muszę powiedzieć, że w tym NKWD on cały czas stał przy mnie. Ci z NKWD, starsi od niego, bo on był młodym chłopcem, widzieli, że on mnie pilnuje i rzeczywiście do końca mnie pilnował. I do końca on sprowokował to, że mnie wypuścili z tego NKWD po konfrontacji z tym AK-owcem, który był tak zbity, że to, co wystawało, to było czarne. Boże, jeszcze do tej pory przy takich wspomnieniach to ja mam takie uczucie, że mi plecy cierpną. Tak samo z Działdowa tego, to też straszne są wspomnienia. Ale tam też były straszne te wspomnienia. Ale przeżyłam jak widać i żyję dalej. Tam pod Kampinosem byliśmy dosyć długo, ileś tam miesięcy. I tam też niestety miałam raz przygodę z „własowcami”. Bo tak gdzieś już na początku listopada, nie było oczywiście telefonów, a już broń Boże telefonów komórkowych. I był tam miejscowy lekarz, Necer się nazywał. I jak były jakieś poważne operacje, to wołało się tego miejscowego lekarza, on przychodził pomagać. Bo w tym szpitalu polowym, Jezu, aż trudno w to uwierzyć, nie było elektryczności i nie było bieżącej wody. Jezu... Jak ja sobie to uzmysławiam, to ja tego nie bardzo umiem zrozumieć, ale tak było. No. I dlatego ja... W czasie okupacji wybierałam się, że jak już skończę po maturze, to pójdę na medycynę. Ale tak sobie obrzydzałam tam, pranie... Na przykład prałyśmy w miednicach, prałyśmy zaropiałe bandaże, opatrunki, bo tego było mało, potrzebowałyśmy. I ja przepraszam za wyrażenie, ale ja przy tym praniu to wyrzygałam dalej niż widziałam i zrezygnowałam z medycyny. Dlatego potem kończyłam Politechnikę. Ku radości mojego ojca, że nie poszłam na tę medycynę. O! A tam jeszcze też miałam właśnie to spotkanie, że jak poszłam po tego lekarza, Necer się nazywał, żeby przyszedł pomóc nam, naszym lekarzom, pomóc nam przy tej operacji, to po drodze gonili mnie „własowcy”, tacy na rowerach, i ja w pierwszych dniach listopada przeszłam w butach, w palcie, znaczy w kurtce, [w spodniach] do..., prawie do szyi, przez rzeczkę, która tam przepływała. Rzeczka się nazywała Utrata, i ja przeszłam przez tą rzeczkę w listopadzie, uciekając przed „własowcami”. No na szczęście oni, oni nie decydowali się na kąpiel w listopadzie, a ja przeszłam i po drugiej stronie miejscowy gospodarz zobaczył mnie taką ociekającą, zabrał mnie na swój wóz, zawiózł do swojej żony, tam mnie rozebrała, wszystko wysuszyła, a mnie położyła w ich małżeńskim łóżu pod pierzyną, której nigdy w życiu potem już nie udało mi się obejrzeć, bo była chyba wysokości więcej niż pół metra ta pierzyna. Ale nawet kataru nie miałam po tej kąpeli w listopadzie. No, jednym słowem, że do tej pory ja się dziwię, jakim sposobem ja żyję, jak tyle razy powinnam była odejść do wieczności, tak? Przecież ustawili nas, jak weszli Niemcy i „własowcy” tam, ściągali nas z budynku młodych i postawili nas pod ścianą i jeszcze następnych ściągali. Ale naprzeciwko nas stał Ukrainiec, „własowiec” przy karabinie maszynowym, więc jednoznaczne było, że zginiemy. I co? Uratowało nas dwóch hitlerowców. Oni wbiegli w pewnym momencie do tego „własowca” powiedzieli: „Halt, zabieramy tych młodych, bo się dwie ciężarówki ze-psuły. To oni nam będą pchali do punktu napraw”. No i zabrali nas spod tego karabinu. Troszkę żeśmy się bali, czy nie odprowadzą nas. Ale oni byli tak zajęci tym, co mają tam naprawiać, że na szczęście nas nie odprowadzili. Czyli nikt już pod ten karabin z nas nie wrócił. I tam widziałam raz w życiu, że ja miałam te siedemnaście lat, a taki był powstaniec, też pod tą ścianką, który był dla mnie nieomalże staruszką, bo miał pewnie ze 27 lat. I on wyszedł spod tej ścianki absolutnie siwy. Raz w życiu to widziałam. Naprawdę osiwał przez te ileś godzin. Chociaż urodziłam się w Warszawie i ojciec miał razem z takim inżynierem [nazwisko niezrozumiałe], mieli firmę projektowo-budowlaną tu w Warszawie, ale po śmierci dziadków ojca, ojciec marzył o tym, że wróci też tam do Turowa, i rzeczywiście zamieszkaliśmy, po śmierci dziadków zamieszkaliśmy w Turowie. Turowo to majątek moich dziadków, pradziadków. Położony był pośrodku między Płockiem a Płońskiem, mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów od Płocka. I tam przed tym też znany był, bo tam, póki dziadkowie żyli, to myśmy zawsze wakacje u nich spędzali, a po ich śmierci tam żeśmy

zamieszkali. Ale ojciec dalej projektował w różnych majątkach, dwory i tak dalej, bo się specjalizował w tych dworach. Nawet się..., potem jeden z wykładowców pisał o budownictwie na Mazowszu, to też właśnie mówił, że w stylu Rutkowskiego, bo ojciec sporo tam projektował. I tam był taki zwyczaj, ale nie wiem, może tylko u moich rodziców, ale może też i w innych majątkach, że kończąc pięć lat, zaczynaliśmy się uczyć, jeździć konno, zaczynaliśmy się uczyć gry na fortepianie, i zaczynaliśmy ogólnie współżyć z ludźmi i wszystko, bardzo rodzice tego pilnowali. My mogliśmy sobie – dzieci, bo ja jestem z piątki rodzeństwa, mogliśmy sobie pourywać łąby – według naszych określeń, ale nie wolno było się niegrzecznie odezwać do służby. Uuu... Za to, to byłaby, ogromna byłaby kara i bardzo rodzice tego przestrzegali. I myślę, że to między innymi dało to, że w czasie okupacji, po okupacji, tak zwana służba folwarczna bardzo się serdecznie odnosiła do nas, bo moja matka opiekowała się wszystkimi dziećmi służby, jeździła wtedy, zabierała matkę i to chore dziecko i jeździła, bo lekarz pediatra był w Staroźrebach. Staroźreby były oddalone od Turowa mniej więcej 7–10 km. Czyli jechała, opiekowała się i tak dalej. I ta cała służba..., bardzo to doceniała i nadszedł niestety 1939 rok. Niemcy... Tam będąc w ogrodzie widziałam niedaleko nas bitwę powietrzną dwóch samolotów, niemieckiego i polskiego. Na szczęście żaden z nich nie spadł, tylko rozjechały się, ale najprzód walczyły, strzelały do siebie i tak dalej. Dla nas, dzieci to było naprawdę coś nadzwyczajnego. I Niemcy jak tylko weszli, to zaaresztowali wszelkie dostawy zboża i różnych innych płodów rolnych, prawda: buraków, kolby kukurydzy, najróżniejsze rzeczy. I nie wolno było tego pod karą śmierci zabrać, bo to oni zabierali dla wojska, prawda? I zresztą... Trzy kilometry od nas był taki mająteczek, gdzie mieszkali państwo [niezrozumiałe nazwisko], i oni mieli dwoje dzieci, takich malutkich, 2 – 3 lata. I on w naiwności ducha zostawił dla tych swoich dzieci cielaka, żeby móc po tym zabić i mieć jedzenie dla tych dzieci. I go powiesili Niemcy. Jezu! Straszne, prawda? Jak powiedzieli dla przykładu, że nie wolno zabierać, to co jest dla Rzeszy, to jest dla Rzeszy. O! No i tak. No i tam przebyłam jeszcze prawie rok w Turowie, bo Niemcy korzystali z usług, że tak powiem w cudzysłowie, mojego ojca, bo on kończył w Niemczech, więc świetnie znał niemiecki, i był tłumaczem tam wtedy w gminie, był tłumaczem z niemieckiego. Ale to był 1939 rok, przez 1940 rok byliśmy w Turowie, jakkolwiek Niemiec zabrał nam trzy czwarte budynku. Zepchnął nas właściwie do dwóch ostatnich pokoi. Ale jeszcze byliśmy. A potem, już w 1941 roku wysiedleni nas. Przyjechali takimi powodami, mam nadzieję, że wiecie, co to jest podwoda. Przyjechali podwodami i wysiedlili nas, najprzód do punktu zbiorczego w kościele w Blichowie, a stamtąd właśnie do niemieckiego obozu śmierci w Soldau, czyli w obecnym i przedwojennym Działdowie. Tam przeżyliśmy straszne rzeczy, naprawdę gorzej niż straszne. I dlatego te moje dzieci, i potem już dorosłe wnuki, pytały się: „Babciu, mamo, dlaczego nic nie mówiłaś o tym, że byłaś w tym obozie?”. A ja? Po prostu to w psychologii się nazywa wyparcie z pamięci. Ja to wyparłam z pamięci, bo tam..., tyle lat po wojnie, ja mam z sierpięte plecy, jak wam to opowiadam. Bo to było tam gorzej niż strasznie. Niemcy tam mordowali na oczach innych albo wywozili do takiego lasu, nad tym obozem był taki las, i ci ludzie już nie wracali, tam ich rozstrzeliwali. No, podobno mniej niż 10% miało takie szczęście jak moja mama i moje rodzeństwo, dwie młodsze siostry, że wsadzili nas do bydłowych wagonów i pojechaliśmy do Generalnej Guberni. Ale takie szczęście podobno mniej niż 10% ludzi stamtąd miało. To co najbardziej koszmarnie wspominam, to nie było wc-tów takich normalnych, tylko były takie doły wykopane i nad tym taka..., żerdzie [poprzybijane]. Jakoś się siadało na jednej żerdzi i... Miałam pecha, że mama kazała mi pójść do tej ubikacji z tą moją najmłodszą siostrą, która miała w tym Soldau, w Działdowie 5 lat. I przez to akurat trafiłyśmy, że taki chłopiec, polski chłopiec i dwóch Niemców, nie hitlerowców, nie nazistów, dwóch miejscowych Niemców, jeszcze żerdziami go przycisnęli, żeby utonął. Boże, czy wy wiecie, że można to po 80, czy iluś latach mówić i być cała zdrętwiała? Ja wiem, że trzeba przebaczać, jestem wierząca, ale trzeba pamiętać. I teraz jak

widzę jak jakiś Niemiec w Unii Europejskiej naskakuje na Polskę, to ja sobie tak myślę: „Ty cholero, czy ty jesteś synkiem, czy wnukiem jakiegoś gestapowca, który nas tu mordował?”. No jednym słowem, że niechlubny mam myśli. No ale trudno. Wy mi też pewnie wybaczycie. Jak przyjechałam do Warszawy, to się okazało, że w takich byłam warunkach, tam w tym Soldau, że nabawiłam się gruźlicy i rodzice załatwili, i byłam przeszło rok w Otwocku, w takim prewenterium dla dzieci. Nie było wtedy jeszcze antybiotyków, a ja miałam otwartą gruźlicę. I byłam tam w tym prewenterium. Stamtąd chodziłam razem z taką Basią jeszcze, która była w moim wieku, ale była gdzieś z zupełnie innych stron. Chodziłyśmy też do..., na tajne nauczanie, bo to wszystko było w tym czasie tajne przez... No, okropność. No ale myśmy też tam chodziły, uczyłyśmy się, byłyśmy w gimnazjum, tajnym oczywiście. A poza tym chcę jeszcze powiedzieć, że teraz często mówią, że Polacy wydawali Żydów. Ja się z tym nie zgadzam, bo my w tym prewenterium, tam były dzieci od 5 roku życia, w tym prewenterium, i wiedziałyśmy, że jedna z wychowawczyń jest Żydówką, a jej córeczka żeby, żeby łatwiej się ukrywać z tym, była w innej grupie, ta dziewczynka. I my dzieci żeśmy wiedziały tyle czasu o tym i nikt nie tego... Jeszcze mało tego, jak Niemcy wchodzili na teren, to my, dzieci żeśmy natychmiast zawiadamiali tą wychowawczynię Żydówkę i ona nie wychodziła do Niemców. Ona się chowała. I co? I te dzieci, które tam były i nikt jej nie wydał? Wiem, bo potem ją w pracy spotkałam już po wojnie w 1949, 1950 roku. I ona, i ona, i ta jej córeczka przeżyły. Potem tutaj po powrocie z sanator..., z prewenterium, to się nazywało „Olimp”, prewenterium „Olimp”, tutaj należałam do tajnego harcerstwa. Z tym, że to harcerstwo było przy Narodowych Siłach Zbrojnych. Bardzo poważnie podchodzili do tych szkoleń, bo miałam prze[szkolenie] wojskowe, i miałam sanitarne. I rzeczywiście oni bardzo dbali o to, także na przykład sanitarne, to nawet załatwiali nam praktyki w szpitalach. Nam, dzieciakom ostatecznie. Ale rzeczywiście mieliśmy dobre przeszkolenie i bardzo jestem wdzięczna za to, że nas tak odpowiedzialnie traktowali. I potem byłam właśnie w tym harcerstwie. I byłam aż do..., aż do 1944 roku, gdzie ja już chyba mówiłam, że zostałam przydzielona do, do dzielnicy Ochota, i tam do pani Zofii Namitkiewicz, która była odpowiedzialna za służby kobiece. I tam właśnie żeśmy szykowały już do Powstania, skupowałyśmy bandażę, opatrunki, lekarstwa... No! I potem tego 1 [sierpnia] to już byłam też ja przydzielona do tego lekarza [Jana] Goldman-Zaborowskiego, ale nie pamiętam jego imienia, ale pamiętam nazwisko. Bardzo gonili akowców i powstańców, i też były rewizje w domu i po jednej z takich rewizji zabrali mnie na konfrontację z AK-owcem, który był cały siny, tak był pobity. No ale dzięki temu młodemu UB-owcowi, który był nie NKWD, tylko w Urzędzie Bezpieczeństwa, i on chciał się z woli swojego ojca odwdzińczyć za uratowanie ich życia. I on właśnie tam cały czas pilnował, żeby jednak ci NKWD-yści nie zostawili, i on dopilnował, że wyszłam z tego NKWD. Do tej pory mu jestem winna wdzięczność, bo byliby mnie tam wykończyli na pewno. A tak to jak widać, żyję. Po wojnie wstąpiłam na Politechnikę, ku radości mojego ojca, bo służbę zdrowia miałam dokładnie obrzydzoną w czasie okupacji, i wstąpiłam... I potem całe życie przepracowałam w budownictwie. Miałam też taką śmieszłą historię, że jako studentka pracowałam jako zastępca kierownika budowy na ulicy Odyńca. I kiedyś przyszli tacy dwaj panowie smutni, w czarnych, skórzanych płaszczach i dopytywali się o..., czy, czy ja nie słyszę jakichś rozmów między pracownikami, między robotnikami? Może oni coś złego mówią o ludowej ojczyźnie? A ja im na to odpowiadałam: „Panowie, na litość boską, przecież jest obecnie rząd pracowników, to powinniście wy z nimi rozmawiać, a nie ze mną. No i ja potem oczywiście tym robotnikiem powiedziałam o tym, że ci panowie się o nich..., o nich pytali. A ponieważ byłam lubiana, bo starałam się jak najlepiej obliczać ich zarobki i tak dalej, to oni powiedzieli tak: „Proszę pani, jak oni by się tu drugi raz zjawili na budowie, to niech pani prędiutko da nam znać, to już my sobie z nimi porozmawiamy”.